



Rok 1939. Mam 17 lat i jasne spojrzenie na świat. Jestem kandydatem na studenta Politechniki. Wybuch wojny. Obraz wyruszających do boju naszych żołnierzy. Entuzjazm. Później syreny, alarm, okopy, bomby, popłoch, ale ciągle wiara w nasze zwycięstwo. Rzeka uciekinierów, uciekinierów w niej liczni oficerowie wysokich szarż wraz z rodzinami. Dlaczego uciekają do Rumunii? Kilka dni później czoło niemieckie pod Lwowem. Coś rwie się w sercach - niepokój, wątpliwości. Apel do młodzieży akademickiej: Opuśćcie Lwów, kierujcie się do Rawy Ruskiej. Tam przewidziana jest koncentracja wojsk i ochotników. Powrót do rodzinnego Nowego Sącza. Pięć miesięcy żyję w okupowanym mieście, na którym powstają pierwsze załączki konspiracji skierowanej głównie na działania w ogniwach ułatwiających przemyt licznych ochotników polskich - przez Słowację i Węgry - do organizatorów we Francji polskich formacji wojskowych. Nowy Sącz stał się ośrodkiem przerzutu ochotników przez węgierską granicę do organizującej się armii. Niestety, nasza konspiracja była łatwa do odszyfrowania. Zaczęły się aresztowania. Aresztowano mnie 29 kwietnia 1940 roku, wraz z kilkunastoosobową grupą kolegów. Większość miała po 18 lat. Po trwającym niemal dwa tygodnie brutalnym śledztwie, wywieziono nas do więzienia w Tarnowie. Tu nie miałem już przesłuchań, byliśmy jednak bardzo głodni. Miesiąc później, - 13 czerwca - pod eskortą zaprowadzono nas do tarnowskiej łaźni publicznej. Grupa 728. więźniów w ciasnej, dusznej łaźni spędzić musiało całą noc, chodząc lub "kimając" w pomieszczeniach obiektu. O godz. 5 rano zostaliśmy wyprowadzeni z łaźni, uformowani w kolumny i od eskortą SS przeprowadzeni główną ulicą Tarnowa. Przerażeni Tarnowianie spoglądali na nas z okien i spod ścian kamienic. W pewnej chwili do kolumny więźniów usiłowała się wdrzeć matka jednego z eskortowanych. Chciała pożegnać młodego syna. Kolby karabinowe poszły w ruch. Płaczącą kobietę brutalnie uderzono i wypchnięto. Ciosy dosięgły też jej syna wyrwywającego się z szeregu. Kolejnym "przystankiem" była rampa kolejowa za dworcem w Tarnowie. Załadowano nas do wagonów

osobowych, w których mogliśmy siedzieć. Pociąg ruszył. Około południa minęliśmy Kraków. W wagonach zrobiło się potwornie gorąco i duszno. Mijane stacje miały już niemieckie, nieznane nam nazwy. Nie wiedzieliśmy, gdzie jesteśmy. Na którejś ze stacji pociąg skierowano na boczny tor. Kiedy ustał zgrzyt kół, z okien wagonu dostrzeżliśmy dwa duże budynki, jeden z nich otoczony wysokim płotem z drutu kolczastego. To był Oświęcim - Auschwitz. Oświęcim drugiej strony torów, na obszernym trawiastym terenie, w półkolu, stali niemieccy żołnierze z karabinami maszynowymi. Rozległy się wrzaski i odgłosy strzałów, jazgotliwe zaszczekały podniecone psy. Pędzeni z wagonów więźniowie wpadali w korytarz utworzony z "kapo", trzymających w rękę grube drewniane kołki. Przerażonych, pokrwawionych i jęczących zagnano na plac za ogrodzeniem. Przebiegłem przez szpaler nieco tylko oberwawszy. Ci, którzy mieli mniej szczęścia - brutalnie pobici, z trudem wczołgivali się na plac. Tak powitano Polaków w hitlerowskim piekle, w dopiero co zakładanej fabryce śmierci. Na placu kazano się nam rozebrać do naga i zapędzono do piwnicy budynku, gdzie mieliśmy się umyć. Po kąpieli i dezynfekcji skierowano nas do sal w budynku, gdzie przygotowano dla nas miejsca do spania. Krótka czerwcową noc nie przyniosła nam upragnionego snu i odpoczynku. Rankiem ustawiono nas w dziesięcioszeregowy blok. Do dziś pamiętam słowa, jakimi przywitał nas kierownik obozu Karl Fritsch: "Nie przyjechaliście do sanatorium, ale do niemieckiego obozu koncentracyjnego. Nie ma stąd innego wyjścia, niż przez komin krematorium". Stosowane przez hitlerowców dobrze przemyślane metody, na razie działały zgodnie z ich oczekiwaniami. Nie były jednak w stanie złamać ducha i wiary. Odtąd jednak stałem się numerem 61 - straciłem osobowość w niemieckiej maszynie wyniszczenia...